

Minionego lata Dżery kupił wyposażenie sklepu z pegeeru. Wszystko: lady, półki, jakieś gablotki i starodawną wagę z szalkami i wskazówką wędrującą za szkiełkiem. Ładowaliśmy ten komunistyczny zabytek na klepisko stuletniej łemkowskiej chałupy. Lady i półki trzeba było przeciąć. Tak były wielkie. Przez pięćdziesiąt lat stały w jednym miejscu i nikt ich nie ruszał. W osiemdziesiątym trzecim w rusińską Wielkanoc zobaczyłem je po raz pierwszy, po raz pierwszy stanąłem w kolejce i potem stawałem już do końca, cały czas w tym znajomym zapachu. Co to było? Słodczyce, cynamon, marmolada, cukier waniliowy, wędzonka, wietrzące butelki po piwie, papierosowy dym, ciała ludzi stojących w kolejce? Wszystko razem. Towar przyjeżdżał we wtorki i w piątki. Trzeba było przyjść znacznie wcześniej i stanąć, żeby cokolwiek dostać. Ekonomia niedoboru. Sklep należał do pegeeru i właściwie obsługiwał tylko jego pracowników. Sprzedawcą był szef gospodarstwa. Większość

pegeerowców nie używała na co dzień gotówki. Szef miał gruby zeszyt, w którym zapisywał imienne listy zakupów i potem odliczał przy wypłacie. Niektórzy chyba w ogóle nie oglądali pieniędzy. Po prostu pracowali i dostawali za to jedzenie, mydło, piwo. Było coś feudalnego w kolejce potulnych kobiet. Stały w milczeniu albo coś cicho mówiły. Dwie, trzy, cztery godziny. Czasu było wtedy pod dostatkiem. Towar przywoził beżowy żuk. Widać go było z dwóch kilometrów. Pojawiał się obok dawnej cerkwi i ciągnąc za sobą tuman kurzu, zaczynał zjeżdżać w dół, znikał na dwie minuty i potem pojawiał się na ostatniej półkilometrowej prostej.

Tkwiałem na końcu babskiego ogonka i czułem się jak przybłęda w tym kolektywistycznym i zarazem patriarchalnym świecie. Szef stał za ladą w granatowym kitlu i białym kaszkiecie. Wskazywał palcem to na tą, to na tamtą klientkę i przywoływał. Kolejka nie miała żadnego znaczenia. Kupowały te wskazane. Nigdy nie udało mi się rozwikłać zasady tych wyborów. Może szef nagradzał najlepsze pracownice? Może te, które miały najdalej do domu? A może po prostu okazywał swoją absolutną władzę, którą w istocie nad tym ludem sprawował? Byli jego własnością. Nie mieli dokąd pójść. Tycowa miała dziewiątkę dzieci. Po chleb przychodziła z workiem, w cajgowych spodniach i bluzie, prosto od owiec albo koni. Wynosiła ten wór przez próg zgarbiona, jakby niosła

ziemniaki. Czworaki stały na wzniesieniu, miała pod górę z tym tobołem. Ludzie mówili, że dodatku rodzinnego bierze więcej niż pensji. Żwirowa droga biegła środkiem osady i prócz żuka przejeżdżał nią jeszcze co jakiś czas leśniczy swoim UAZ-em, ciężarówka z drewnem i patrol strażnicy granicznej. Nikt nie miał samochodu. Autobus zatrzymywał się sześć kilometrów dalej. Naprawdę nie było dokąd odejść z dziewiątką dzieci. Zresztą nikt nie czekał. Stałem na końcu babskiego ogonka i czułem się jak przybłęda.